

9—10 kwietnia 2009

Augie Odenkirk miał datsuna z 1997 roku, który wciąż dobrze ciągnął pomimo wielu kilometrów na liczniku, ale benzyna była droga, zwłaszcza dla faceta bez pracy, a City Center leżało na drugim końcu miasta, więc Augie postanowił pojechać ostatnim wieczornym autobusem. Wysiadł dwadzieścia po jedenastej, z plecakiem na ramionach i zwiniętym śpiworem pod pachą. Pomyślał, że o trzeciej nad ranem będzie się cieszył z puchowego śpiwora. Noc była mglista i przejmująco zimna.

— Powodzenia, stary — pożegnał go kierowca. — Powinieneś dostać jakąś nagrodę za to, że będziesz tam pierwszy.

Tylko że nie był pierwszy. Kiedy dotarł na szczyt szerokiego, stromego podjazdu prowadzącego do wielkiego audytorium, zobaczył co najmniej dwa tuziny ludzi czekających już przed rzędem drzwi. Niektórzy stali, większość siedziała. Ustawiono słupki i rozciągnięto pomiędzy nimi żółtą taśmę z napisami NIE PRZEKRACZAĆ; powstało skomplikowane przejście, kręte jak labirynt. Augie znał to z kin i banku, w którym miał obecnie debet, i rozumiał cel: stłoczyć jak najwięcej ludzi na jak najmniejszej przestrzeni.

Podchodząc do grupy ludzi, którzy wkrótce utworzą korowód bezrobotnych ubiegających się o pracę, Augie ze zdumieniem i konsternacją zobaczył, że kobieta na końcu kolejki trzyma śpiące dziecko w nosidełku. Dziecko miało policzki zaczerwienione z zimna; przy każdym wydechu słabo rzęziło.

Kobieta usłyszała kroki lekko zasapanego Augiego i odwróciła się. Była młoda i całkiem ładna mimo podkrążonych oczu. Przy jej nogach stała nieduża pikowana torba. Augie przypuszczał, że zawiera rzeczy dla dziecka.

— Cześć — powiedziała kobieta. — Witamy w Klubie Rannych Praszaków.

— Kto rano wstaje... — Zastanowił się, pomyślał: A co tam, i wyciągnął rękę. — August Odenkirk. Augie. Niedawno mnie zredukowali. Tak się mówi w dwudziestym pierwszym wieku, jak kogoś wyleją.

Podawała mu rękę. Miała przyjemny uścisk, mocny, bez cienia nieśmiałości.

— Nazywam się Janice Cray, a moje małe szczęście to Patti. Mnie też chyba zredukowali. Byłam gosposią u miłej rodziny w Sugar Heights. Mój były pracodawca... ee... sprzedaje samochody.

Augie skrzywił się.

Janice kiwnęła głową.

— Wiem. Powiedział, że żałuje, ale muszą zacisnąć pasa.

— Ciągłe się to słyszy — przyznał Augie, myśląc: Nie mogłaś znaleźć nikogo do dziecka? Naprawdę nikogo?

— Musiałam ją zabrać. — Janice Cray nie potrzebowała telepatycznych zdolności, żeby odczytać jego myśli. — Nie mam nikogo, kto mógłby się nią zająć. Dosłownie nikogo.

Dziewczyna z mojej ulicy nie mogła zostać całą noc, nawet gdybym jej zapłaciła, a i tak nie miałabym z czego. Nie wiem, co zrobimy, jeśli nie dostanę tej pracy.

— Twój rodzice nie mogli jej wziąć? — zapytał Augie.

— Mieszkają w Vermoncie. Gdybym miała trochę rozumu, zabrałabym Patti i pojechała do nich. Tam jest ładnie. Tylko że oni mają własne kłopoty. Tata mówi, że dom tonie. Nie dosłownie, to nie powódź ani nic takiego, tylko sprawy finansowe.

Augie kiwnął głową. To też często się słyszało.

Kilka samochodów wjeżdżało stromym podjazdem od Marlborough Street, gdzie Augie wcześniej wysiadł z autobusu. Skręciły w lewo, na rozległy, pusty parking, który z pewnością zapełni się do rana... za kilka godzin, kiedy Pierwsze Doroczne Miejskie Targi Pracy otworzą podwoje. Żaden z samochodów nie wyglądał na nowy. Kierowcy zaparkowali i prawie ze wszystkich aut wysiadło po trzech lub czterech szukających pracy, którzy skierowali się do drzwi audytorium. Augie nie stał już na końcu kolejki. Siegała prawie do pierwszego zakrętu.

— Jeśli dostanę pracę, wynajmę opiekunkę — ciągnęła Janice. — Ale dzisiaj ja i Patti musimy zacisnąć zęby.

Dziewczynka zakaszła chrapliwie, co wcale nie spodobało się Augiemu, poruszyła się w nosidełku i znowu znieruchomiała. Przynajmniej była ciepło otulona; nawet na rączkach miała maleńkie mitenki.

Dzieciaki przeżywają gorsze rzeczy, pocieszał się niepewnie Augie. Przypomniawszy sobie Dust Bowl i wielki kryzys. No, ten był dla niego dostatecznie wielki. Dwa lata temu wszystko się układało. Nie żeby się płać w luksusach, ale jakoś wiązało koniec z końcem i zwykle nawet mógł co miesiąc odłożyć

niewielką sumę. Teraz wszystko diabli wzięli. Coś się porobiło z pieniędzmi. Nie rozumiał tego; był tylko urzędasem w dziale wysyłkowym Great Lakes Transport, znał się na fakturach i używał komputera, żeby wysyłać towary drogą morską, powietrzną i lądową.

— Ludzie widzą mnie z dzieckiem i myślą, że jestem nieodpowiedzialna — mówiła nerwowo Janice. — Wiem, widzę to w ich twarzach, widziałam w twojej twarzy. Ale co miałam robić? Nawet gdyby ta dziewczyna od sąsiadów mogła zostać na całą noc, to by kosztowało osiemdziesiąt cztery dolary. Osiemdziesiąt cztery! Mam odłożone na czynsz za przyszedły miesiąc, a potem jestem spłukana. — Uśmiechnęła się i w blasku wysokich lamp sodowych z parkingu Augie dostrzegł łązy na końcach jej rzęs. — Rozgadałam się. Przepraszam.

— Nie musisz przeproszać.

Kolejka zrobiła już pierwszy zakręt i dotarła z powrotem do miejsca, gdzie stał Augie. Dziewczyna miała rację. Zauważył, że wiele osób gapi się na śpiące dziecko w nosidełku.

— Och, ciągle to robię. Jestem samotną, niezamężną matką bez pracy. Przepraszam wszystkich za wszystko.

Odwróciła się i popatrzyła na baner zawieszony nad szeregiem drzwi:

GWARANTUJEMY 1000 MIEJSC PRACY!

A poniżej:

Popieramy ludzi z naszego miasta!

— BURMISTRZ RALPH KINSLER

— Czasami mam ochotę przeproszać za Columbine* i za jedenasty września, i za to, że Barry Bonds bierze sterydy. — Zachichotała na wpół histerycznie. — Czasami chcę nawet przeprosić za wybuch promu kosmicznego, chociaż kiedy to się stało, dopiero uczyłam się chodzić.

— Nie martw się — powiedział Augie. — Wszystko będzie dobrze.

Takie rzeczy po prostu się mówi.

— Szkoda tylko, że jest tak wilgotno. Owinęłam ją na wypadek, gdyby zrobiło się bardzo zimno, ale ta wilgoć... — Pokręciła głową. — Nic to, damy radę, prawda, Patti? — Obdarzyła Augiego słabym, pozbawionym nadziei uśmiechem. — Żeby tylko nie padało.

. . .

Nie padało, ale robiło się coraz bardziej wilgotno; widzieli kropelki wody zawieszane w smugach światła lamp sodowych. W którymś momencie Augie się zorientował, że Janice Cray zasnęła na stojąco: zgarbiona, z jednym biodrem wysuniętym do przodu, z mokrymi włosami opadającymi na twarz, z brodą niemal wspartą na piersi. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest za kwadrans trzecia.

Dziesięć minut później Patti Cray obudziła się i zaczęła płakać. Jej matka (niezamężna matka, pomyślał Augie) zdrygnęła się, parsknęła jak koń, uniosła głowę i próbowała wyciągnąć dziecko z nosidełka. Nie mogła sobie poradzić — nóżki

* Masakra w Columbine High School — jedno z największych masowych zabójstw na terenie placówek oświatowych w historii Stanów Zjednoczonych; doszło do niej 20 kwietnia 1999 roku.

małej uwięzły. Augie pomógł, przytrzymując boki nosidełka. Wreszcie Patti się wyłoniła, teraz zawodząc na całego. Krople wody lśniły na jej maleńkim różowym kaftaniku i dopasowanym czepeczku.

— Jest głodna — powiedziała Janice. — Mogę jej dać pierś, ale w dodatku się zmoczyła. Czuję przez spodenki. Boże, nie mogę jej tu przewijać... zobacz, jaka mgła się zrobiła!

Augie zastanawiał się, jakie bóstwo obdarzone poczuciem humoru ustawiło go w kolejce za tą kobietą. Zastanawiał się również, jak, do cholery, ona przebrnie przez resztę życia... przez całe życie, nie następne osiemnaście czy ileś lat odpowiedzialności za dziecko. Żeby wyjść w taką noc tylko z torbą pieluszek! Była aż tak zdesperowana?

Położył wcześniej swój śpiwór obok torby z pieluszkami Patti. Teraz kucnął, rozwiązał tasemki, rozwinął śpiwór i rozsunął zamek błyskawiczny.

— Włóż tam. Rozgrzejcie się. Potem podam ci to, czego potrzebujesz.

Popatrzyła na niego, trzymając wiercące się, płaczące dziecko.

— Jesteś żonaty, Augie?

— Rozwiedziony.

— Dzieci?

Pokręcił głową.

— Dlaczego jesteś dla nas taki dobry?

— Bo tu jesteśmy — odparł i wzruszył ramionami.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, podejmując decyzję,

potem podała mu dziecko. Augie trzymał Patti na odległość ramienia, zafascynowany czerwoną, rozwścieconą twarzą, kapką smarków wiszącą u maleńkiego zadartego noska, pedałującymi nóżkami we flanelowych śpioszkach. Janice wsunęła się do śpiwora i uniosła rękę.

— Daj mi ją, proszę.

Augie podał dziecko i kobieta zagrzebała się głębiej w śpiwór. Obok nich, tam, gdzie kolejka po raz pierwszy się dublowała, stali i gapili się dwaj młodzi mężczyźni.

— Pilnujcie własnego nosa — warknął Augie i obcy odwrócili wzrok.

— Podaś mi pieluszkę? — poprosiła Janice. — Powinam ją przewinąć, zanim ją nakarmię.

Przyklęknął na jedno kolano na mokrym chodniku i rozpiął suwak pikowanej torby. W pierwszej chwili zdziwił się, widząc pieluszki z tkaniny zamiast pampersów, potem zrozumiał. Pieluszek z materiału można używać wiele razy. Może ta kobieta nie była całkiem beznadziejna.

— Widzę butelkę Baby Magic. Też ci dać?

Z wnętrza śpiwora, skąd wystawał teraz tylko kosmyk brązowych włosów, padła odpowiedź:

— Tak, poproszę.

Podał pieluszkę i balsam. Śpiwór zaczął się kręcić i podskakiwać. Początkowo płacz się nasilił. Z któregoś dalszego zakrętu kolejki, ginącego w gęstniejącej mgłę, ktoś zawołał:

— Nie możecie uciszyć tego bachora?

Ktoś inny dodał:

— Powinno się wezwać opiekę społeczną.

Augie czekał, obserwując śpiwór. Wreszcie materiał przestał się poruszać i wysunęła się ręka trzymająca pieluszkę.

— Włóżysz to do torby? Tam jest plastikowy worek na brudne. — Janice wyjrzała jak kret z nory. — Nie bój się, to nie kupka, tylko mokre.

Augie wziął pieluszkę, włożył do plastikowego worka (z nadrukiem COSTCO), potem zamknął torbę na suwak. Płacz dochodził z wnętrza śpiwora jeszcze przez jakąś minutę, potem ucichł nagle, kiedy Patti zaczęła się pożywiać na parkingu City Center. Nad szeregiem drzwi, które nie otworzą się jeszcze przez sześć godzin, załopotał niefrasobliwie baner.

GWARANTUJEMY 1000 MIEJSC PRACY!

Akurat, pomyślał Augie. I nie złapiesz AIDS, jeśli zażywasz dużo witaminy C.

Minęło dwadzieścia minut. Więcej samochodów wjechało na wzgórze z Marlborough Street. Więcej ludzi dołączyło do kolejki. Augie oceniał, że czeka już około czterystu osób. W tym tempie zbierze się ze dwa tysiące, i to według ostrożnych szacunków, zanim drzwi się otworzą o dziewiątej.

Gdyby mi zaproponowali smażenie frytek w McDonalddie, zgodziłbym się? — myślał Augie.

Pewnie tak.

A stanowisko witającego klientów w Walmarcie?

Och, jasne. Szeroki uśmiech i „witamy serdecznie”. Augie uznał, że mógłby wykonywać tę pracę z palcem w nosie.

Jestem towarzyski, pomyślał. I parsknął śmiechem.

— Co cię tak rozśmieszyło?

— Nic — odparł Augie. — Karm tego dzieciaka.

— Karmię — odpowiedziała z uśmiechem.

. . .

O wpół do czwartej uklęknął, podniósł klapę śpiwora i zajrzał do środka. Janice Cray spała mocno, zwinięta w kłębek, z dzieckiem przy piersi. Ten widok przypomniawszy mu *Grona gniewu*. Jak się nazywała ta dziewczyna? Ta, która na końcu karmiła piersią mężczyznę? Imię jak nazwa kwiatu, pomyślał. Lily? Nie. Pansy? Z całą pewnością nie. Miał ochotę złożyć dłonie wokół ust, podnieść głos i zawołać do tłumu: CZY KTOŚ TU CZYTAŁ GRONA GNIEWU?

Kiedy się podnosił (uśmiechając się na myśl o tym absurdalnym pytaniu), przypomniawszy mu się imię. Rose. Tak się nazywała dziewczyna w *Gronach gniewu*. Ale nie po prostu Rose; Rosesharon, Róża Szaronu. Brzmiało biblijnie, jednak nie dałby za to głowy; nigdy nie czytał Biblii.

Popatrzył na śpiwór, w którym spodziewał się spędzić najzimniejsze godziny nocy, i pomyślał o Janice Cray, która chciała przeproszać za Columbine, jedenasty września i Barry'ego Bondsza. Pewnie wzięłaby też na siebie winę za efekt cieplarniany. Może po wszystkim, kiedy dostaną pracę — albo nie, co było równie prawdopodobne — zaprosi ją na śniadanie. Żadna randka, nic takiego, tylko jajecznicza na bekonie. A potem nigdy więcej się nie spotkają.

Przybywało coraz więcej ludzi. Zapełnili do końca serpentinowe przejścia ogrodzone taśmą z ważniackim napisem NIE PRZEKRACZAĆ. Potem kolejka rozciągnęła się na parking.

Co dziwiło Augiego — i trochę niepokoiło — to panująca wszędzie cisza. Jakby wszyscy wiedzieli, że im się nie powiedzie, i tylko czekali na oficjalne potwierdzenie.

Baner znowu niefrasobliwie zatrzepotał.

Mgła wciąż gęstniała.

. . .

Tuż przed piątą Augie ocknął się z drzemki, potupał, żeby odzyskać władzę w zdrętwiałych nogach, i spostrzegł, że w ciemność wkradło się brzydkie światło barwy żelaza. Stanowiło całkowite przeciwieństwo różanopalcej jutrzenki poetów i starych filmów w technikolorze; to była antyjutrzenska, wilgotna i blada jak policzek wczorajszego trupa.

Widział audytorium City Center, powoli wyłaniające się w całej tandetnej architektonicznej chwale z lat siedemdziesiątych zeszłego wieku. Widział zakręcającą dwadzieścia razy kolejkę cierpliwych ludzi, której ogon ginął we mgle. Teraz zaczęły się rozmowy, a kiedy przez hol za zamkniętymi drzwiami przeszedł woźny w szarym roboczym kombinezonie, rozległy się niegłośnie, ironiczne wiwaty.

— Odkryto życie na innych planetach! — krzyknął jeden z młodych ludzi, którzy wcześniej gapili się na Janice Cray... to był Keith Frias, którego lewe ramię niedługo zostanie wyrwane.

Ta cięta uwaga wywołała śmiech i rozmowy się ożywiły. Noc minęła. Nikłe światło niespecjalnie dodawało odwagi, ale było trochę lepsze niż długie godziny przed świtem.

Augie uklęknął obok śpiwora i nadstawił ucha. Uśmiechnął się, słysząc ciche, regularne chrapanie. Może niepotrzebnie

się martwił o Janice Cray. Zapewne istnieli ludzie, którzy przez całe życie polegali na innych i jakoś przetrwali, nawet nieźle im się wiodło. Ta młoda kobieta z małym dzieckiem, chrapiąca teraz w jego śpiworze, pewnie do nich należała.

Przyszło mu do głowy, żeby przedstawiać się jako para z Janice Cray przy różnych okienkach. Wtedy obecność dziecka nie świadczyłaby o braku odpowiedzialności, tylko raczej o wspólnym zaangażowaniu. Nie miał pewności, czy ktokolwiek w to wierzy, natura ludzka w dużym stopniu pozostawała dla niego tajemnicą, ale przypuszczał, że to możliwe. Postanowił powiedzieć Janice o tym pomysle, kiedy się obudzi. Zobaczyc, jak zareaguje. Nie mogli udawać małżeństwa; ona nie nosiła obrączki, a on zdjął swoją na zawsze przed trzema laty, ale mogli się podawać za... jak to się teraz mówi? Partnerów.

Samochody nadal wjeżdżały po stromej pochyłości z Marlborough Street w stałych odstępach. Wkrótce pojawią się również piesi, którzy przyjadą pierwszym porannym autobusem. Augie był całkiem pewien, że zaczną napływać o szóstej. Z powodu gęstej mgły widział tylko przednie światła nadjeżdżających samochodów i niewyraźne cienie przyczajone za szybami. Kilku kierowców zniechęciło się na widok ogromnego tłumu czekających i zawróciło, większość jednak jechała dalej, w stronę nielicznych pozostałych miejsc parkingowych; tylne światła ich wozów rozmywały się we mgle.

Potem Augie zauważył sylwetkę samochodu, który ani nie zawrócił, ani nie jechał dalej na koniec parkingu. Miał niezwykle jasne reflektory i żółte światła przeciwmgielne.

Lampy ksenonowe, pomyślał Augie. To mercedes benz. Co robi merc na targach pracy?

Przypuszczał, że to burmistrz Kinsler przyjechał wygłosić przemówienie do Klubu Rannych Ptaszków. Pogratulować im ikry, starej dobrej amerykańskiej inicjatywy. Jeśli tak, myślał Augie, pojawienie się w mercedesie — nawet wiekowym — jest w złym guście.

Starszy facet w kolejce przed Augiem (Wayne Welland, w ostatnich chwilach swojej ziemskiej egzystencji) powiedział:

— Czy to benz? Wygląda jak benz.

Augie chciał już odpowiedzieć, że oczywiście tak, nie można nie rozpoznać ksenonowych reflektorów mercedesa, ale wtedy kierowca samochodu bezpośrednio za niewyraźną sylwetką nacisnął klakson — długi, niecierpliwy sygnał. Ksenonowe lampy błysnęły jeszcze jaśniej, wycinając oślepiająco białe stożki wśród wiszących w powietrzu kropelek mgły, i wóz skoczył do przodu, jakby spłoszony przez klakson.

— Hej! — zawołał Wayne Welland ze zdziwieniem. To było jego ostatnie słowo.

Mercedes przyspieszył, kierując się prosto w najgęstszy tłum bezrobotnych, otoczonych przez taśmy z napisami NIE PRZEKRACZAĆ. Kilka osób próbowało uciekać, ale tylko ci na tyłach tłumu zdołali się wyrwać. Ci bliżej drzwi — prawdziwe ranne ptaszki — nie mieli szans. Uderzyli w słupki i przewrócili je, zaplątali się w taśmy, odbijali się od siebie. Tłum kołosał się do przodu i do tyłu, falował gwałtownie. Starsi i mniejsi przewracali się, inni ich tratowali.

Augie został mocno popchnięty w lewo, potknął się, odzyskał równowagę i poleciał do przodu. Czyjś łokieć z rozmachem walnął go w kość policzkową tuż pod prawym okiem i połowę pola widzenia wypełniły jaskrawe fajerwerki przy-

pominające te z okazji Czwartego Lipca. Drugim okiem widział, jak mercedes nie tyle wyłania się z mgły, ile jakby z niej powstaje. Wielki szary sedan, może SL500 z dwunastoma cylindrami, i wszystkie dwanaście teraz wyło.

Augie został rzucony na kolana obok śpiwora i zarobił mnóstwo kopniaków, kiedy usiłował wstać: w ramię, w szyję, w bark. Ludzie wrzeszczeli. Usłyszał krzyk kobiety: „Uważaj, uważaj, on nie hamuje!”.

Zobaczył, jak Janice Cray wystawia głowę ze śpiwora, mrugając w oszołomieniu. Znowu skojarzyła mu się z płochliwym kretem wyglądającym z nory. Krecicą, zaspaną i rozczochraną.

Podpełznął na czworakach i nakrył sobą śpiwór, kobietę i dziecko w środku, jakby własnym ciałem mógł ich osłonić przed dwutonowym wytworem niemieckiej techniki. Słyszał krzyki, niemal zagłuszone przez zbliżający się ryk potężnego silnika sedana. Ktoś rąbnął go mocno w tył głowy, ale prawie tego nie poczuł.

Zdążył pomyśleć: Chciałem postawić Róży Szaronu śniadanie.

Zdążył pomyśleć: Może on skręci.

Tak, to była ich szansa, prawdopodobnie jedyna szansa. Zaczął podnosić głowę, żeby sprawdzić, czy tak się stanie, ale ogromna czarna opona przesłoniła mu świat. Poczuł, że kobieta ściska jego przedramię. Poczuł jeszcze przebłysk nadziei, że dziecko ciągle śpi. Potem czas się skończył.